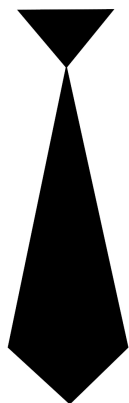


RADOSŁAW NOWAKOWSKI



KRAWAT, MUSZKA I STRYCZEK

napisał, zaprojektował, złożył i przygotował Radosław Nowakowski
www.liberatorium.com © *copyright by Radosław Nowakowski 2020*

Położył się spać wolny, a obudził się niewolny. Nie wiedział dlaczego, nie wiedział jak to się stało, co się stało w nocy, że to się stało, ale odczucie było wyraźne, silne, nie zostawiało żadnego pola do dyskusji i wątpienia.

Może nic się w nocy nie stało. Spał przecież jak zwykle, czyli snem zdrowym, mocnym, nie zakłóconym. Jak zwykle coś mu się śniło. Jak zwykle intensywnie i dosyć bełkotliwie. Nic szczególnego w tym śnie nie zaistniało, nic co zmuszałoby pamięć do rejestracji tych szalonych wydarzeń, nic na tyle niewyobrażalnego i dramatycznego, że zerwałby się obudzony własnym krzykiem i strugami zimnego potu. Nic z tych rzeczy.

Coś jednak musiało się wydarzyć. Nic przecież nie dzieje się bez przyczyny. To mogłoby być jakieś drobne zdarzenie, tak drobne, że nawet go nie zauważył, nie zaprzątnęło jego uwagi w najmniejszym stopniu i mogło mieć miejsce niekoniecznie poprzedniego dnia, lecz wiele dni wcześniej. Jakby mu podłożono bombę z opóźnionym zapłonem. Zegar cykał i cykał, aż się docykał i nastąpił wybuch.

Przez chwilę próbował przeskanować pamięć, ale szybko z tego zrezygnował. Zapewne skupiłby się na zdarzeniach nierutynowych typu potknięcia, poślizgnięcia, złamania, skręcenia, rozbicia, stłuczki i stłuczenia, przypalenia, niedosolenia i przesolenia i tym podobne, a to wcale nie gwarantowało sukcesu w poszukiwaniach, albowiem powód mógł leżeć po stronie zdarzeń rutynowych. Trochę zaniepokoiła go ta myśl, tym bardziej że zaraz po niej pojawiła się następna podszeptująca, że nie należy lekceważyć całokształtu jego życia, że podejrzewać należy także wszystko, a raczej wszystkość... Potrzęsnał głową, myśl się odczepiła, spadła na podłogę, rozlała się, plama błyskawicznie wsiąkała w dywan. Ach, nie ma to jak miękkie dywany pod zrogowaciałymi piętami...

Nie odczepiło się, niestety, poczucie zniewolenia. Nie pomogły wykonywane kolejno rutynowe czynności. Smaczne śniadanie też nie pomogło, a wydawało się, że zniewolenie utopi się w wybornej herbacie. Nie utopiło się. Uwierało niczym za ciasny kołnierzyk koszuli.

Uwierało niczym kołnierzyk koszuli – każdy kołnierzyk każdej koszuli uwiera. Taka jest natura kołnierzyka. Po to jest kołnierzyk.

Otworzył szafę. Ach, szafa! Co za szafa! Ta szafa zawsze budziła w nim tkliwość. Dzisiaj ta tkliwość była jakby nieco mniejsza. Skurczyła się i odsunęła, ustępując miejsca rodzącemu się rozdrażnieniu. Szafa była stara i zwalista. Podobno jesionowa. Ciemnobrazowa. Ciągłe połyskująca fornirem, który mocno zmatowiał po tylu latach. Szafa była zdecydowanie za duża, a dodatkowo generowała chaos, gdyż w jej przepastnym wnętrzu rzeczy uwielbiały się skłębiać i gubić. Traktował ją jednak jak bramę do utraconego dzieciństwa. Czasami wyobrażał sobie, że wchodzi do niej zamyka się i cały świat znika. Taka szafa-nora, szafa-gniazdo, szafa-matka. W nowej szafie by się nie schował. Nowa szafa by go tak nie otuliła. Dlatego nie pozbywał się tej starej, chociaż nigdy do niej nie wszedł. Nie było takiej potrzeby. Czyżby miało to się stać dzisiaj?

Otworzył skrzypiące drzwi. Po ich wewnętrznej stronie znajdował się specjalny drążek na krawaty, oczywiście też drewniany, też jesionowy, na co wskazywałby jego kolor i twardość.

Za każdym razem kiedy otwierał te drzwi i widział niezbyt imponującą kolekcję swoich krawatów zdumiewał się. Nie inaczej było i tym razem, aczkolwiek teraz w zdumienie wkradła się ledwo wyczuwalna nutka zniechęcenia pomieszanego ze złością. Na wściekłość było jeszcze stanowczo za wcześnie.

Bo jakże się tu nie zdumiewać. Ot, pasek materiału rozszerzający się z jednego końca i z obu zakończony trójkątnie. Nic więcej, a ileż możliwości kompozycyjnych, ile wariantów materiałowych, ile wzorów, od pełnego realizmu do pełnej abstrakcji, od absolutnego minimalizmu do nieokiełznanego maksymalizmu, od skrajnego wyrafinowania do równie skrajnej kiczowatości, a na dodatek nośnik treści: od rozbuchanej symboliki przez proste hasła do meandrów poezji konkretnej. Tak, wynalazek genialny zarówno w swej prostocie i nieskończonym bogactwie kombinacyjnym, jak i okrucieństwie.

Oto bowiem nadszedł moment dokonania wyboru. Gdyby mógł, to miałby wszystkie krawaty jednakowe, w jednym kolorze pasującym do wszystkich możliwych zestawień kolorystycznych, czyli czarnym. Ale nie mógł. Z wielu różnych przyczyn, jedną z których była wcale nie taka znowu ogromna niechęć do wybierania. Nie przyznawał się przed nikim, więc także przed sobą, ale wybieranie niekiedy sprawiało mu przyjemność, stanowiło rodzaj łamigłówki do rozwiązania, te zaś lubił umiarkowanie, to znaczy bardziej nie lubił niż lubił, aczkolwiek nielubienie przeważało nie tak znowu wyraźnie nad lubieniem. Zaś *niekiedy* oznaczało, że znacznie częściej wybieranie sprawiało mu nieprzyjemność. Tu przewaga nieprzyjemności nad przyjemnością była wyraźna, chociaż nie przytłaczająca. Innym powodem chaotyczności kolekcji były prezenty. Oczywiście, mógłby prezenty wyrzucać, mógłby je wykorzystywać jako prezenty z drugiej, czyli jego, ręki i wręczać następnym osobom, mógłby je wreszcie sprzedawać albo przekazywać na aukcje (któż jednak chciałby kupić krawat od klasycznie przeciętnego obywatela niewyróżniającego się niczym specjalnym, nawet krawatem, bo gdyby się wyróżniał, straciłby status przeciętności) lub do paczek przygotowywanych przez organizacje dobroczynne (krawat zupełnie nie nadaje się do czynienia dobra). Pozbywanie się podarowanych krawatów miałyby jednak przykre konsekwencje, których wolał uniknąć, podobnie jak odpowiedzi na podchwytliwe pytania: Dlaczego nie założyłeś tego krawatu, który dostałeś ode mnie na imieniny, tak świetnie by pasował, nie podoba ci się? . . . Wybieranie było też jednym z tych momentów, kiedy aż do bólu odczuwał działanie dwóch przeciwnie skierowanych sił: uwielbienia i nienawiści. Z jednej strony uważał, że wynalazcy należy się wspaniały pomnik i wieczna chwała, z drugiej gotowy był udusić go własnymi rękami, nawet rozerwać potem na strzępy (obawiał się jednak, że wynalazców był całkiem spory tłum, a to oznaczałoby ludobójstwo). Dotychczas owe siły pozostawały w równowadze wzajemnie się znosząc, co pozwalało zaryzykować stwierdzenie, iż krawat był mu obojętny. Tego dnia jednak obojętność jeśli nie

zniknęła, to mocno zbladła, cofnęła się, skryła, jej kontury rozmazały się.

Wreszcie dokonał wyboru. Z niejakim zdumieniem spostrzegł, że patrzy na wybrany krawat jakby to była smycz, on zaś był psem. Zaraz ktoś mu tę smycz założy i wyprowadzi go na spacer. Ktoś czyli on. Co gorsza, wcale się z tego nie cieszył, chociaż powinien skakać z radości, skamlać i szczeleć, łasić się (do kogo?), gonić własny ogon (nie miał), stawać na tylnych łapach (to już robił od dawna, właściwie od początku). Nie był psem. Jeszcze nie.

I teraz przychodziło to, co najgorsze: wiązanie węzła. O ile wybór stawiał znak równości między uwielbieniem a nienawiścią, to wiązanie stawiało znak nierówności dając zdecydowaną przewagę nienawiści. Należy jednak podkreślić z całą mocą, że uwielbienie nie spadało do zera, o nie. Zdarzało się, że wiązanie przebiegało gładko, a efekt był więcej niż zadowalający. Uzyskany trójkąt cechował się nieomal idealną równobocznością, a odchylenie od osi ocierało się o niemierzalność. Również usytuowanie względem skrzydełek kołnierzyka nie pozostawiało nic do życzenia. Tak, wtedy uwielbienie osiągało prawie poziom nienawiści. Taka sytuacja zdarzała się jednak rzadko i choć osiągnięta satysfakcja na jakiś czas pozwalała zapomnieć o codziennych upokorzeniach, gniew powracał dosyć szybko.

Tym wahaniom nastrojów, tej szarpiącej nerwy oscylacji dwóch skrajnych uczuć towarzyszyło jeszcze permanentne zdumienie utrzymujące się na niemal stałym poziomie, tak wysokim, że graniczącym z podziwem. Kariera krawata zdumiewała go niepomiernie. Każdego dnia próbował odpowiedzieć na pytanie jak to się stało, że takie coś, a w zasadzie takie nic, jak krawat osiągnęło taki sukces. Oto bowiem część garderoby nie mająca żadnej praktycznej wartości, o zerowej funkcjonalności, zupełnie niepotrzebna staje się niezbędnikiem. To przecież jakieś szaleństwo. Nie jakieś – to czyste szaleństwo. Krawat nie jest szalikiem, nie chroni przed zimnem, nawet gdyby okręcić nim szyję, bo do tego jest za wąski i za cienki; co gorsza, jego usytuowanie i wymóg eksponowania, sprawia, że trzeba

odsłaniać tors; to nie szkodzi, że zimny wiatr przewiewa na wskroś, ważniejsze niż zdrowie jest pokazanie kawałka materiału zwisającego spod brody. I nikt nie wie dlaczego, bowiem ten kawałek materiału nie pełni nawet roli seksualnego wabika, którym to jest raczej rozchełstana koszula ukazująca fragment nagiego ciała, nie ma on też nic wspólnego z kogucim puszeniem się czy wypinaniem pawianich modzeli. Rzeczywiście, jest on smętnym męskim zwisem dekoracyjnym, jak to mawiano w epoce, z której pochodziła jesionowa szafa (czyżby? szafa wydawała się starsza, o tak, szafa zdecydowanie pochodziła z jeszcze wcześniejszej epoki). O dziwo, ta nazwa, będąca jedną z jakże wielu pokracznych i nieudanych prób oczyszczenia jednego języka z naleciałości innych języków, wyśmiewana i postponowana nie tylko przez kabarety, zawierała w sobie cenną wskazówkę, być może nawet jedyną sensowną, co do usprawiedliwienia i wyjaśnienia istnienia krawatu. Dekoracyjność. Ozdobność. Zdobność...

Jak co dzień stał przez lustrem i patrzył w swoją twarz. Twarz jak co dzień, lustro jak co dzień, ręce jak co dzień, szyja jak co dzień. Troszeczkę, odrobinę jakby drżące, odrobinę rozwibrowane, nie takie spokojne, nie tak zrezygnowane, nieco bardziej napięte. Zapina koszulę pod szyją... No właśnie. Pomijając sprawę wrzynania się sztywnego kołnierzyka w ciało, w ogóle pomijając sprawę kołnierzyka jako takiego i koszuli jako takiej, wygląda to nie najlepiej. Prawdę mówiąc wygląda to fatalnie. Koszula rozpięta pod szyją wygląda całkiem dobrze, oczywiście pomijając sprawę koszuli i kołnierzyka jako takich, samych w sobie, a koszula zapięta – okropnie. Pojawia się jakaś pustka domagająca się natychmiastowego wypełnienia. Kompozycja potrzebuje umieszczenia w tym miejscu silnego kolorystycznego akcentu, lecz nie płaskiego, o nie, nie wystarczy zabarwić materiał, to powinna być jakaś forma przestrzenna... Czyli za hańbę krawata należałoby winić wynalazcę sztywnego kołnierzyka. Pokrętność ludzkiej myśli jest doprawdy fascynująca...

Już wiedział, że czeka go dotkliwa porażka, może najdotkliwsza. Czuł ją w palcach. W ich delikatnym drzeniu. Dawały mu sygnał,

że sobie nie poradzą, że się zaplączą i nic, ale to absolutnie nic z wiązania nie wyjdzie. Nie nic. Zawsze przecież coś wychodzi, ale to coś co wyjdzie dzisiaj będzie nie do zaakceptowania. Dlatego znowu, po raz nie wiadomo już który, zaczął myśleć o maszynie do wiązania krawatów. Nie o tym jak taka maszyna powinna wyglądać i jaki kryć w sobie mechanizm – nie był przecież inżynierem, konstruowanie mechanizmów nie wzbudzało w nim entuzjazmu, nie wywoływało wypieków na twarzy, ale dwóch lewych rąk też nie miał, chociaż przychodziły takie chwile, że tego żałował, bo wtedy przynajmniej jego bezradność znajdowałaby jakieś wytłumaczenie. Zastanawiał się wielokrotnie nad tym, dlaczego do tej pory nikt takiej maszyny nie wymyślił. Spokojnie, nawet ze sporą dozą entuzjazmu, byłby prezesem firmy zajmującej się produkcją takich urządzeń. Z jeszcze większym entuzjazmem kierowałby ogólnością ruchem antykrawatowców. Gdyby taki ruch powstał. Ale nie powstał. To też go niepomierne dziwiło. To, że nikt nie protestuje, że co pewien czas nie wypełniają ulic i placów miast wielkie demonstracje, że nikt nie tropi powszechnego spisku producentów krawatów, że nie pojawiają się hasztagi #stopkrawatom lub inne im podobne (tu na moment rwący potok chaotycznie bulgoczących myśli zatrzymał się, jakby rozbił o kamień zawahania: trzeba sprawdzić), że nie są organizowane marsze i pikiety, że nikt nie strajkuje, że nie próbuje uchwalić ustawy zakazującej tego ustawicznego podduszania obywateli, którzy tak się już do tego zniewolenia przyzwyczaili, że odzyskanie wolności uznaliby za zniewolenie, za atak na ich najświętszy przywilej. Ech... Może jednak przesadza. Może nie wie o wszystkim. Może coś umknęło jego uwadze. Może, na przykład, nie dotarła do niego informacja o próbach wymyślenia innego węzła. Bo dlaczego ciągle musi być ten sam? Dlaczego ciągle ten oszukany trójkąt będący w istocie trapezem? Dlaczego nie spróbować uzyskać kwadratu będącego w istocie pięciokątem? Jakże ograniczona jest ludzka wyobraźnia! I nagle poczuł nieodpartą chęć przekroczenia wszelkich granic. Nie zarzucił krawatu na kark i na ramiona, tak by jego końce zwisały swobodnie wzdłuż boków.

Okręcił nim głowę. Oto krawat à la bandana. Zrobił do lustra kilka min, które wydawały mu się stosowne i zerwał krawat z czoła. A teraz krawat à la pirat i przewiązał nim twarz po skosie zakrywając jedno oko. Znowu zrobił kilka stosownych min, tym razem bardzo groźnych. I dalej. Krawat-ciuciu-babka! Też zrobił kilka min, lecz nie wiedział, czy były stosowne, z wiadomych powodów. No to teraz krawat-knebel! Bardzo ciekawe. Bardzo. I wreszcie krawat-mucha! Jak mógł zapomnieć o muszce! O, muszka to jeszcze coś innego. To coś znacznie bardziej skomplikowanego niż krawat. Muszka to więcej niż szaleństwo. Więc muszkę sobie odpuści. Lecz skoro już zabrał się za formy biologiczne, to czemu nie spróbować zrobić z krawatu motyla? Albo chrząszcza? A kwiat? O to to to! Krawat-kwiat! Nie krawat w kwiaty. Nie, nie, nie. Krawat-kwiat. Kwiat krawatowy.

Och! Być dyktatorem mody! Zniewalać wszystkich swoimi szalonymi pomysłami...

Tu zatrzymał się. To wcale nie takie proste. Jest jeszcze ta durna tradycja. To ślepe i głuche przywiązanie do form, które uważane są za jedyne słuszne, wieczne i niezmiennie...

Zatem znowu zostaje tylko krawat-smycz. Jak zwykle. Jak co dzień. Zawiązał tradycyjny węzeł. Źle zawiązał. Niedobrze. Okropnie... A! Jeszcze stryczek! Byłby zapomniał. Czym się różni krawat od stryczka? Tym, że krawat wiąże się wiele razy, a stryczek raz, a porządnie. Stary kawał. Bardzo stary. Teraz go sobie przypomniał, ale nawet się nie uśmiechnął. Trochę wykrzywił usta, zmarszczył nos i czoło, lecz grymas ten z trudem dałoby się uznać za uśmiech. Chwytał krawat za zwisający smętnie koniec i unióśł go nad głowę przekreślając pętlę. Ciekawie. Teraz wywalił język, wybałuszył oczy próbując zrobić najpotworniejszą minę jaką potrafił. Ciekawie, ale męcząco. Musiałby cały czas trzymać rękę podniesioną do góry. Długo by nie wytrzymał, chociaż wystarczająco by wejść do biura demonstrując wisielczy humor. Można by jeszcze zastanowić się nad jakąś konstrukcją usztywniającą krawat, albo nasączyć go żywicą epoksydową...



LIBERATORIUM *Dąbrowa Dolna, październik 2020*